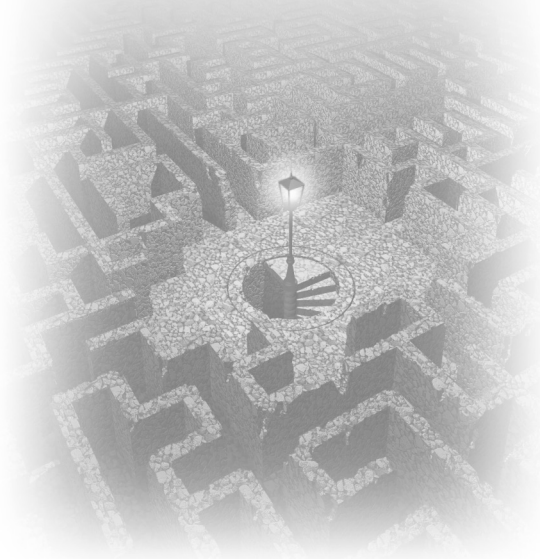


# Labirynty



Michał  
**Cetnarowski**  
**Labirynty**



**powergraph**

Warszawa 2009

Copyright © 2009 by Michał Cetnarowski  
Copyright © 2009 by Powergraph  
Copyright © 2009 for the cover by Rafał Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redakcja: Sławomir Spasiewicz

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel./fax: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl



Internet: [www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26  
www.powergraph.pl  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-61187-13-4**

Printed in Poland, EU

*Rodzicom Krystynie i Andrzejowi,  
Siostrze Marcie,*

*i Dorocie*



„I była także pusta izba, której przeznaczenia nie znał nikt – a może nie miała go w ogóle, może była tylko nauką tajemnicy i tego, jak nigdy nie przenikniemy wszystkiego bez reszty?”

*Antoine de Saint-Exupéry, Twierdza*





# Droga na zachód

## Dzień pierwszy

Idziemy na zachód.

Gąsienice z metalowym chrzęstem drą asfalt, potem nagle zgrzyta i maszyny zatrzymują się. Czołgi i bewupy stoją w długiej linii, czekając, aż wykończony zostanie most pontonowy i można będzie przekroczyć Nysę. Motory gasną albo pokaszują basem na jałowym biegu. Czasem poboczem przejedzie UAZ z informacjami od szefów batalionów do punktów kontrolnych. Za szybami odbijającymi brudne niebo mignie czasem mundur czerwonoarmisty. Jest zimno.

Spoglądamy na siebie niepewnie, wystawiając głowy przez włazy, słuchawki w hełmofonach milczą jak zakłète. Obowiązuje cisza radiowa. My też nic nie mówimy, tylko czasem uśmiechamy się nerwowo. Dowódca czołgu patrzy przez lornetkę, próbując zobaczyć, skąd ten nieprzewidywany postój. Wąż T-55 z innych plutonów naszej kompanii ciągnie się po zakolu zrytej stałą drogi. Panczerze są tylko trochę

ciemniejsze od burego nieba. Jest zimno, ale pot spływa po plecach.

Dowódca plutonu odejmuje okular lornetki od oczu. Jeszcze raz przebiega wzrokiem po skrzynkach na błotniku, gdzie znajdują się dodatkowe taśmy do ciężkiego DSzK, którego lufa wystaje ponad wieżyczkę wozu. Zastanawia się, czy zaopatrzone nas we wszystko, od pocisków do uzupełnienia stanów po dodatkowe granaty dymne. Bije dłonią o metal wieżyczki, daje znak kierowcy. Szarpie i po chwili po metalu przechodzi dreszcz uruchomionego silnika. Inne maszyny też odpalają motory. Powietrze pachnie paloną ropą. Widzimy jeszcze dyżurnego z organizacji ruchu, jak chorągiewkami daje znaki do rozpoczęcia przeprawy.

Czekamy, aż maszyny przed nami ustawią się w linii. Kiedy ruszają, ostrza gąsienic wyrzucają w górę kawałki asfaltu. Kolumna, powoli, zbliża się do rzeki. Patrzymy na sznur wozów pancernych przejeżdżających po moście i ginących w ciemnościach drugiego brzegu. Jest zimno. Za nami czarne łby czołgów też rozplývają się w burej ciemnicy. Mija południe. Spoglądamy na siebie znowu.

Dojeżdżamy do węzła. Dowódca zeskakuje z maszyny i idzie do rozstawionego na polu namiotu drogowców. Wystawiamy głowy. Żołnierz przed płachtą salutuje, a wtedy twarz dowódcy, co widzimy nawet stąd, odbija się w przeszklonych wizjerach maski przeciwgazowej. Po chwili oficer wychodzi. Biała koperta z rozkazami niknie w kieszeni na piersi jego kombinezону, w rękach pozostaje plik nowych map. Kiedy wskakuje do wozu, na błotnikach zostają gumiate ślady ciężkiej gliny. Kiedy wskakuje do wozu, terkot silników zagłusza narastające echo nadlatujących samolotów. Zadzieramy głowy. Ledwo widoczna eskadra naszych mknie nad horyzontem, na niebie o barwie zimnej kawy z mlekiem zostają czarne, kłębiaste smugi. Pada rozkaz wydania IPR-ów z tabletkami i strzykawkami z dolarganem, pakietów prze-

ciwchemicznych, osobistych opatrunków i identyfikatorów. Robi się zamieszanie. Potem ruszamy.

Przejeżdżamy rzekę. Błotnista woda rozbija się o krawędzie pontonów. Plutony, które już przeprawiły się na drugi brzeg, ustawiają się w szyku marszowym kompanii. Zanim zamkniemy włązy, widzimy jeszcze czarne słupy, poprzekrzywiane na podmokłym nadbrzeżu. Zostawiamy je za sobą. Barwy nie widać, ale beton, widzimy to wszyscy, przecinają wymalowane dwukolorowe pasy. Zamykamy włązy.

Silniki huczą i nie można mówić bez laryngofonów, więc tylko spoglądamy na siebie. Ruszamy w równomiernym tempie, z zachowaniem szyku.

Wjeżdżamy do piekła.

## Dzień drugi

Idziemy na zachód.

Widzimy, co przed nami zrobiło lotnictwo. Po obu stronach oczyszczonego korytarza, daleko, tam, gdzie na horyzoncie zazwyczaj widać szpalery drzew, unoszą się dymy rozwiewane przez wiatr. Droga nie została nawet tak bardzo zniszczona, utrzymujemy równe tempo.

Jest ciemno, mimo popołudnia. Bure chmury, tak jak wczoraj, wiszą nisko nad ziemią, szorują brzuchami po porytych polach. Jedziemy z otwartymi włącznikami. Wcześniej, jeszcze nocą, DPS-y zaczęły piszczeć wysokim tonem i mrugać lampkami, musieliśmy więc uszczelnić wozy i włączyć filtrowanie. Czujniki wreszcie wyłączyły się i alarm odwołano. Później urządzenie odzywało się jeszcze kilka razy, ale zaraz urywało swój elektroniczny świergot. Kapitan batalionu kazał przestawić czułość sygnalizatora na większą podziałkę.

Wokół pusto, tylko huk silników przerywa ciszę. Rano jeszcze jedna eskadra przecięła niebo, ale prawie jej nie widzieliśmy, tak była wysoko. Czasem bokiem przemknie jakiś

UAZ z dowództwa, skacząc na koleinach i wyżłobieniach ziemi na poboczu. Wcześniej bewupy z piechotą oddaliły się na południe. Dowódca cicho kłął, widząc ich manewr. Zostaliśmy sami.

Dojeżdżamy do węzła komunikacyjnego. Tu szosa kończy się i trzeba wjechać w pola. Zwalniamy. Dowódca batalionu zarządza piętnastominutowy postój. Nie odchodzimy daleko od maszyn, sikamy, patrząc w niebo. Po wyjściu z kokpitu jest zimno. Wzdrygamy się i spoglądamy niepewnie na siebie. Palimy papierosy. Ktoś kaszle, ktoś, patrząc na dowódcę wystającego z wieżyczki i oglądającego po raz kolejny mapy, pyta cicho, czy słyszeliśmy o tym, kogo spotkali chłopcy z Czechosłowacji, od południa flankujący nas swoimi batalionami zmechanizowanymi? Machamy ręką i uśmiechamy się nerwowo. Niebo nad nami jest ciemne i coraz bardziej zasnuwa się brudnym dymem. Ciszę przesywa huk wrzucanych na bieg silników.

Zmieniamy szyk. Zamiast jechać kolumną, na polach rozciągamy tyralierę. Grudy błota wylatują w powietrze, kiedy czołgi korygują kurs i stopują na chwilę jedną z gaśnic. Trzęsie. Lampki DPS-ów milczą jak zakłute, ale i tak co chwilę poklepujemy kierowcę po ramieniu, żeby na nie zerknął, a potem, bez słowa kiwając głowami, przekazujemy wiadomość dalej. Daleko po lewej widać sznur ciężarówek mknących najpierw w tym co my kierunku, a potem odbijających w mgłę, tak jak wije się szosa. Nie licząc nawiewanych dymów, przez cały dzień nie widać innego źródła ruchu.

Do wieczora jest jeszcze daleko, kiedy dojeżdżamy do Magdeburga. Miasto zostaje po prawej, na północy, ale nawet stąd widać ogień. Rubinowa poświata podświetla skłębione niebo, dymy bijące w chmury są tłuste i czarne. Kiedy wyłączamy silniki, robiąc przerwę na tankowanie, z oddali słychać pogłos urywanej kanonady, a czasem basowe mruknięcie pojedynczej eksplozji. Ruszamy dalej, przed nocą mu-

simy jeszcze dotrzeć do wytyczonego punktu. Oficer prowadzący przerwał ciszę radiową i nadał kod potwierdzający wytyczne marszruty.

Jest późny wieczór, kiedy widzimy ich po raz pierwszy. Trzy wozy bojowe idą szybkim kursem na północny zachód, wykorzystując nitkę niezniszczonej drogi. Dowódca błyskawicznie wydaje rozkazy. Inne załogi też już ich dostrzegły. Znikamy we wnętrzu wozu. Zatrzymujemy się, żeby ułatwić celowanie. Maszyną kołysze, sztywno i krótko. Dowódca obserwuje przez lornetkę ledwo widoczne cienie. „Przeciwpancerny”, komenderuje. Słyszymy stłumiony huk wystrzału innego wozu. Nie słyhać, żeby ktoś odpowiadał ogniem. Dowódca nie zwraca na to uwagi. Ustawia dalmierz. Pal.

Wnętrzem potężnie szarpie i od huków przez chwilę boleśnie piszczy nam w uszach. Momentalnie w całym wnętrzu śmierdzi palonym prochem. Pusta łuska wysuwa się z ładownicy. Chcemy popatrzeć, czy dostał. Słysząc jeszcze jeden wystrzał. Kwiaty ognia wybuchają wolno na linii horyzontu. Wozów pancernych już nie widać, nie dostrzegamy jednak też żadnego wraku. Ciekawe, czy zawiadomią swoich o naszym położeniu. Ciekawe, czy mają jeszcze kogo zawiadomiać. Podejmujemy przerwana jazdę. Motory znowu warczą, jak czarne psy przy wjeździe do piekła.

Kiedy przejeżdżamy obok wyrwanych w polu i asfalcie lejów, wiatr nad ziemią rozwiewa kolejne duchy z sinosiwych dymów.

## Dzień trzeci

Idziemy na zachód.

DPS w naszym wozie zapalał się coraz częściej, więc dowódca wreszcie kazał go wyłączyć. „Zepsuty”. Pokiwaliśmy głowami, niepewnie popatrując na siebie. Po długiej jeździe w burej szarówce, która teraz utrzymuje się przez cały

dzień, kazał nam wziąć po tabletkę z IPR-ów. Otworzyliśmy włązy. Kiedy czekaliśmy, by wyrównać szyk, długo przez lornetkę obserwował horyzont.

Tam, gdzie można, jedziemy drogami. Czasem asfalt jest zerwany i poryty na długości wielu kilometrów, a wtedy zjeżdżamy w pola i jeśli można, rozciągamy szyk. Przejeżdżając przez wyburzoną, zgruchotaną wybuchami bomb wieś, mijamy mały zagajnik, w którym kikuty drzew są połamane i wypalone do czarnej sadzy, jakby w polu ktoś zatknął grube i krótkie pale.

Coraz częściej dostrzegamy ognie na linii horyzontu. Czasem zmieniamy kurs i omijamy je szerokim łukiem, a wtedy widać tylko wielkie tuby dymu, jak nieruchome filary, bijące w brudne niebo. Czasem nie zmieniamy marszruty. Łuny chorobliwie pomarańczowym światłem podpalają wtedy horyzont, niebezpiecznie blisko, a potem znikają za nami, do wtóru jazgotu silników.

Jest zimno. Kiedy kolumna zatrzymuje się na postój, prawie nie rozpinamy czarnych kombinezonów. Włosy pod hełmofonami lepia się do skóry, ale kiedy wychodzimy, mając chwilę przerwy, chłód momentalnie wkrada się pod zamki. Podczas jednego z postojów, który zrobiliśmy na opustoszałym posterunku, nielicznych, bo rozkaz utrzymania tempa jest wyraźny, słyszymy, jak nagle coś łupie głucho, raz i drugi, ale nic nie widać. Chodząc pomiędzy maszynami, pod podszwami butów czujemy ucisk rozrzuconych w nieładzie karabinowych łusek. A potem, kiedy już dojadamy konserwy i wsiadamy do maszyn, dopiero wtedy, po prawej nagle wykwitają dwa pióropusze dymu. Jeden z nich rozbłyska zaraz w ciszy jasnymi iskierkami i prosty słup płące się w rozłożystą koronę siwych kłębow dymu i ognia. Dopiero wtedy słysząc odległe eksplozje.

Ruszamy, roztrącając zastawiające drogę wypalone wraki wojskowych samochodów. Ciemne okna budynków strażni-

czych mają wybite szyby i są okopcone. A kiedy wyjeżdżamy już za chroniące nas dotąd zabudowania, widzimy ich.

Zwalniamy. I tak nie można poruszać się szybciej, cała kompania, według rozkazów, ma na tym odcinku nie zjeżdżać z szosy. Jeden z naszych, saper, z doczepionym trałem, jedzie wolno na przedzie i oczyszcza drogę. Co jakiś czas słychać tapnięcie rozjeżdżanej miny. Zatrzymujemy się i czekamy.

Stoją w polu, na ziemi niczyjej. Za plecami, już tylko dymiąc, dopala się pusta skorupa czołgu. Widzieliśmy ją już wcześniej. Jeden z naszych.

Stoją we trójkę. Dowódca najpierw długo patrzy przez lornetkę, a potem, łamiąc ciszę radiową, przez chwilę mówi coś do laryngofonu przełączonego na kanał zewnętrzny. Spoglądamy na siebie. Bez lornetki nie widać wyraźnie kształtów na tle dymu. Ci przed nami też wysuwają się z maszyny, a po chwili ich DSzK obraca się płynnie na wieżyczce i zaczyna strzelać. Mimo hełmofonów, wyraźnie słychać metaliczny jazgot.

Ziemia pod ich stopami gotuje się, ale stoją dalej. Kiedy ogień cichnie, dowódca jest błady. Trzy postacie odwracają się i odchodzą, znikając za wrakiem.

To choroba, tak się dzieje, kiedy spadną bomby, szepcze dowódca, jakby mówił do siebie. Choroba... Myślimy o ich niewyraźnym kształcie. Spoglądając na siebie, kiwamy niepewnie głowami.

Od przodu słychać coraz rzadsze piekło wybuchów. Trał czyści drogę. Kolumna rusza dalej.

## Dzień czwarty

Idziemy na zachód.

Słyszając huk silników, myślimy o pogłoskach, o których mówi się na postojach. Wjeżdżamy w głąb piekła.

Robi się coraz zimniej, już prawie nie wychodzimy z wozów. Coraz częściej mijamy na swojej drodze ruiny budynków. Najpierw wypalone wsie, drożnice kolejowe na przejazdach z potrząskanymi szlabanami, z odkształconymi szynami, po których nie przejedzie już żaden pociąg. Przepompownie z rozłupanymi betonowymi czerepami dachów, gdzie mętna woda rozlewa się po gruzach. Stare opustoszałe pałace, w których podmuch odległego wybuchu wybił wszystkie szyby na jednej ze ścian, nieme okna w ocalałym budynku stajni odbijają niskie niebo i czarną ziemię. Daleko, nieregularnie, grzmią wybuchy. Omijając węzły dróg zaznaczone na mapach, z daleka widzimy krwiste łuny pożarów. Potem po raz pierwszy wjeżdżamy do miasta.

Dowódca każe jechać na przyrządy, w pełnym zamknięciu, bojąc się snajperów. Ale na spotkanie nie wychodzi nam nikt. Otwieramy włązy. Jedziemy. Patrzymy.

Pogięte żelazne przypory, nadtopione, wiją się na bruku w kalekich kształtach. Brudny śnieg gruzu zaściela ulice, jakby ktoś narzucił go w jednym kierunku szeroką szuflą. Jadąc, próbujemy omijać wyrwy po wybuchach. Jadąc, słyszemy jęk metalowych szkieletów budynków, miażdżonych pod gąsienicami. Wokół pusto.

Ognie już wygasły i teraz w sine niebo biją z okien tylko pocerniałe dymy. Silniki pracują miarowo, kiedy przejeżdżamy, widząc pojedyncze ściany, będące kiedyś domami, pod którymi leżą okopcone drzazgi szaf i nagie stelaże małżeńskich łóżek. Czasem hałdy pokrytych kredowym pyłem cegieł leżą przed nami, a wtedy z chrupotem łamanych kamiennych kości wjeżdżamy na barykadę, żeby potem nagle stoczyć się z niej z gwałtownym przechyłem.

Para leci z ust. Powietrze smakuje wapnem. Cała kolumna wydłuża się, rozjeżdża, oskrzydlając się nawzajem w bojowym szyku, próbując przedzierać się bocznymi uliczkami. Utrzymujący się przy ziemi dym, jak stracone chmury, prze-



słania czarne skorupy pancerzy. „Czysto”, „Nikogo” – skrzeczy plutonowy w słuchawkach dowódcy i wtedy przez laryngofony otrzymujemy rozkaz postoju. „Rozpoznanie terenu”. Wychodzimy rozprostować nogi, mimo wszystko spoglądając niepewnie na oczodoły okien w czaszkach budynków bez dachów i spękane ściany, w których zieją czarne wyrwy. Nie gasimy silników, motory cicho mruczą, teraz, po wyjściu, tak odległe, jakby w ogóle ich nie było. Odchodzimy w ruiny. I wtedy zapada cisza.

Dym, pył tłumi dźwięki, niebo wygląda tak, jakby zaczęło się zaraz za naderwanymi dachami mieszkalnych bloków, białe obłoki oddechów znikają w zacierającej kontury szarówce. Jest zimno. Jest cicho. Naprawdę cicho. Pod nogami chrzęszczą ceramiczne łupki pokruszonej zastawy obiadowej.

Przez ostatnie dni zawsze towarzyszyły nam czerwone powidoki eksplozji i odległe echa wystrzałów, nawet jeśli gasły motory maszyn, poboczem przeciskał się zawsze jakiś gazik dowództwa batalionu albo cysterny z ropą. Ale teraz nic. Beton i pokręcone węże stali, rozrzucone, potłuczone naczynia i usypiska cegieł. Duży, ciężki telewizor z wylażającym z ciemnego wnętrza-brzucha pękiem białych od pyłu kabli-jelit, z wysadzonym teleskopem. Bezruch. Tylko zimny dym wije się niespiesznie przy ziemi. Nic. Cisza jest absolutna.

Spoglądamy na siebie i wracamy do wozów. Pod powiekami wykwitają białe kropki światła, ból jak od nakłuć rozżarzonych igieł. Dowódca każe nam połknąć kolejną tabletkę z IPR-ów. Pył z powietrza osiada głęboko w płucach. Bola nas głowy.

Ruszamy. Hurgot silników podnosi się, wibruje wyższym dźwiękiem. Powstrzymujemy mdłości. Nie słysząc nic oprócz maszyn. Jak w piekle. Pustka wokół jest zupełna. I to jest jeszcze bardziej przerażające.

Kiedy wyjeżdżamy za ostatnie budynki, rozciągamy tyralierę i zwiększamy prędkość. Za nami, okryte dymem, pozostają wymarłe ruiny.

## Dzień piąty

Idziemy na zachód.

Coraz częściej przecinamy takie peryferia miast. Nigdy nie podjeżdżamy bliżej, jest rozkaz. Trzymamy się z dala od centrów.

Z jednego z nadkruszonych domostw otworzono do nas ogień. Jechaliśmy w otwarciu. Kule z maszynowej broni zakwiliły na grubym poszyciu maszyn jak niegroźne żądła, a potem, zanim zdążyliśmy zareagować, uniosły się wyżej. Mamy rannych, ale nie przerywamy marszu. Wieżyczki dwóch wozów miękko ustawiły się w pozycji, płynąc na żyroskopach. Kiedy huknęły strzały, prawie równocześnie, rwane odrzutem maszyny na chwilę aż stanęły w miejscu. O włązy zagrzecotał grad kamiennych odłamków. Beton bloku rozprysł się do wtóru potężnych eksplozji, po uliczce pomiotło dywanem gruzu. Nie zobaczyliśmy tego, kto otworzył ogień.

Dopiero w następnym mieście, betonowej pustyni, widzimy żywe stworzenie. Pies jest czarny i ledwo stoi. Kiedy maszyny przed nami nikną między hałdami, zatrzymujemy wóz. Kapitan długo myśli, a wreszcie wyskakuje po błotniku i staje na ziemi.

Łeb zwierzęcia prawie nie ma skóry. Pies stoi, trzęsąc się na wychudzonych łapach. Ropa wypełnia puste oczodoły i żółte bąble rozlewają się po obdartym ze skóry pysku. Chyba nie słyszy, inaczej by uciekł. A może nie. Wiemy, na co czeka. Poparzenia widać też na boku, tam, gdzie skórę napięły cienkie brzytwy żeber. Czarna sierść jest zlepiona brudem i wyłazi plackami.

Dowódca długo myśli i spogląda na nas. Silnik chodzi miarowo. Za nami nikt nie jedzie. Patrzymy na dowódcę i spoglądamy na siebie. Bołą nas głowy i pod powiekami zapalają się ognie, jakby ktoś gasił na źrenicy kolejny niedopalek. Dowódca wyciąga RAK-a i przestawia go na ogień pojedynczy.

Długo mierzy.

Patrzymy na dowódcę. Odwraca wzrok. Strzela.

Głośnik łączności zewnętrznej w jego hełmofonie musi odzywać się teraz zgiełkiem zapytań, ale nie widzimy, żeby coś odpowiadał. Nasze laryngofony też milczą. Wtedy je dostrzegamy.

Za krótkim murkiem, złamanym w połowie, pólleży dziecko. Myślimy o tym, czy ślepy pies próbował je bronić. Wokół nie ma nikogo. Dziecko usiłuje usiąść, a my zastanawiamy się, czy mogło usłyszeć strzał. Ze spalonej twarzy odchodzą płaty skóry, naga czaszka pozbawiona jest włosów i widać na niej bąble poparzeń.

Dziecko nie ma siły, żeby się podnieść. Pólsiedząc, wyciąga przed siebie dłoń, jak ociemniały szukający oparcia. Jedno z ramionek zwisa krzywo i nienaturalnie odkształca się przy słabych ruchach.

Dowódca też je dostrzega. Podchodzi.

Patrzymy na dowódcę. Widzimy jego twarz.

Długo trwa cisza. A potem strzał.

Odjeżdżamy, startując nieco zbyt gwałtownie, żeby dogonić kolumnę i wyrównać szyk. Kokpitem kołysze. Bołą nas głowy i chce nam się rzygać. Powieki obrzmiewają coraz bardziej i palą jak piekło.

Echo wystrzału obija się o puste wawozy poprzekrzywionych ścian.

## Dzień szósty

Idziemy na zachód.

Jest późno. Zapada zmrok. Wozy zatankowane, mamy przerwę. Już od dawna nie widzieliśmy samolotów na niebie. Kokpity są niewygodne i szybko ucieka z nich ciepło. Próbuje się zasnąć. Próbuje się myśleć.

O łunach i ruinach, pozostawianych za sobą. O pustym niebie, niebie milczącym, i coraz twardszej od zimna ziemi. Chmury są nisko, a kiedy wychodzimy się wysikać, niechętnie rozpinając kombinezony, a później czując, jak wycieka z nas ciepło, czarne niebo podświetlają czerwone jęzory odległych ogni, które przez całą noc nie gasną, a następnego wieczoru rozpalają się znowu, w innym miejscu.

Nie wiemy, co się dzieje i jakie są rozkazy, ale wiemy, co się stało. Trzecia wojna, wojna ostatnia. Wschód naprzeciw Zachodu. A więc towarzysz Breżniew wreszcie nacisnął czerwony guzik. Armagedon. Koniec świata.

Myślimy o pogłoskach, które na postojach słycać coraz wyraźniej. O tym, gdzie jedziemy. Myślimy o walkiriach zemsty, które w atomowym szale, na stalowych, nie ląbędzich skrzydłach, niosą za naszymi plecami zagładę. Tym razem tam, gdzie mieszkamy.

Kiedy zasypiamy, widzimy kule ognia, rozlewające się nad składającymi się jak pudełka blokami, przetaczające się po ulicach, które znamy. Asphalt najpierw gotuje się i pęka bańkami, a potem, podrywany ognistym podmuchem, łuszczy się jak nadpalona skóra. Domy w deszczu cegieł kładą się nagle bezgłośnie, jak podcięte, nad nimi przewala się gorący wichur. Dźwięk przychodzi później. Metalowe siatki poderwanych płotów płoną i parują, zanim spadną na ziemię.

Dachy, zwiewane z chwiejących się ścian, jakby te były z dykty. Wielkie betonowe płyty mieszkań, w których, w jed-